

## Bądź fajterem, nie frajerem

Aura Xilonen swoją debiutancką powieść *Jankeski fajter* napisała w wieku dziewiętnastu lat. Przemówiła głosem młodego pokolenia Meksykanów – zbuntowanych i kontestujących rzeczywistość. W powieści puszcza do nas oko i przekonuje, że prawdziwe życie, pełne codziennej niesprawiedliwości, ma niewiele wspólnego z tym, o czym piszą w książkach.

### Język, dzikie mięso

Xilonen za *Jankeskigo fajtera* zdobyła prestiżową nagrodę literacką Mauricio Achar. Jury konkursu doceniło książkę przede wszystkim za podjęcie aktualnego problemu migracji, ponieważ główny bohater powieści nielegalnie przekracza granicę Stanów Zjednoczonych, państwa, które z jednej strony kusi spełnieniem American dream, a z drugiej – skazuje go na życie poza prawem. W konkursie doceniono także brawurowe wykorzystanie mieszanki języka ulicy i literackiego. To właśnie z języka zbudowany jest Liborio, główny bohater powieści – poznajemy go nie tylko przez pryzmat tego, co mówi, ale przede wszystkim tego, w jaki sposób opowiada o swoich doświadczeniach. Młoda pisarka jest niebywale wrażliwa na niuanse językowe i sprawnie żongluje mową potoczną, wulgaryzmami i spanglish, czyli połączeniem języka hiszpańskiego i angielskiego.

### Urodziłem się martwy

Zanim przedstawię Liborio, zdradzę, dlaczego to nie od promieni słonecznych, ale od morza żółtych okładek *Jankeskigo fajtera* powinna błyszczeć plaża w Sopocie. Szczególnie teraz wsłuchujmy się w głosy osób zbuntowanych, pochodzących ze środowisk nieuprzywilejowanych, czyli wszystkich tych, którzy, tak jak bohater książki, twierdzą, że „urodzili się martwi”. W głosy tych, którzy – w przeciwieństwie do nas – znają uczucie dojmującego głodu, i tych, którzy spędzają noce na ławce w parku, bo to jedyne spokojne miejsce w mieście. A ich cały majątek może wyglądać tak jak to, czym dysponuje Liborio – chłopak ma sześćdziesiąt dolarów, lekarstwo od pastora i medalik, który podobno matka miała na szyi, kiedy umierała.

### Niczego się nie boję

Xilonen to pisarka, która zapozna nas ze światem niedostępnym. Mogłoby się wydawać, że światem nikomu niepotrzebnym, zbyt niewygodnym. Jednak tylko dzięki jej perspektywie możemy nauczyć się wrażliwości, spróbować zrozumieć głód i wykluczenie, stygmat i biedę. Zawstydzić się, że tysiące osób skazanych jest na krzywdę z powodu nieodpowiedniego paszportu albo wyznawanej wiary. Spójrzmy na bohatera jak na człowieka z krwi i kości: oto Liborio, zadziorny nastolatek z niewyparzoną gębą. Chłopak wrażliwy i cierpiący, z ranami, które trzeba opatrzyć. Skarży się, że „tutaj, w fakin zwykłym życiu, tutaj, na tej fakin ziemi, my, biedacy, jesteśmy stłamszeni, zawistni, wszystko niszczy my i rzadko bywamy solidarni. My, biedacy, tarzamy się w gównie i pozeramy nawzajem, jak mówi jeden jankeski myśliciel”. Bohater nosi w sobie konflikt, a jego całe życie skupione jest na przetrwaniu we względnym bezpieczeństwie, to znaczy: z dala od policji imigracyjnej. Każdego dnia żyje w strachu, że podczas interwencji zostanie złapany.

### Kto czyta, ten błądzi

„Nie dawajcie mi już książek, bo i tak ich nie przeczytam” – rapuje Residente z portorykańskiego zespołu Calle 13, którego muzyka towarzyszy głównemu bohaterowi na każdym kroku. On także ma raczej negatywne nastawienie do literatury, mimo że udało mu się zdobyć pracę w hiszpańskiej księgarni już po przedostaniu się na teren Stanów Zjednoczonych. Tomu poezji jednak prędzej użyje do zamknięcia drzwi, w których zepsuły się zawiasy, niż do refleksji nad tkliwością podmiotu lirycznego. Liborio twierdzi, że „ta namolna poezja, zmetryfikowana z góry na dół, wymykała się na maksa; i to na wszystkie możliwe sposoby, bo każdy taki wiersz mówił generalnie to samo, tylko inaczej: „Jak mają przerwane i niehalo / te zasmarkane muzy / przez wszystkie cierpienia / jakie spadają na tę bandę pedałów – poetów”. W świecie bohatera literatura nie jest wartością, nie jest też walutą, za którą można kupić jedzenie bądź czyste ubranie. Słowa przecież ani nas nie nakarmią, ani nie opatrzą ran, w ogóle do czego dziś są jeszcze potrzebne?

### Miłość dławi, ale nie zabija

Liborio wykorzystuje słowa w możliwie najlepszy sposób – nie, nie do pisania skarg ani rewolucyjnych postulatów – bohater wysyła listy miłosne. Do dziewczyny, z którą połączyła go nie tylko ta więź, która

w brzuchu budzi motyle, ale przede wszystkim więź dwojga zagubionych w świecie. Oprócz spotkania z Aireen Liborio trafia na kolejne osoby – te, które mu pomagają, i te, którym on może pomóc. Ku naszemu zaskoczeniu z jedną z bohaterek założy nawet małą bibliotekę, a na życie zacznie zarabiać jako profesjonalny bokser. Być może to dzięki sukcesom na ringu i doświadczeniu pierwszej miłości bohater ze zbuntowanego chłopaka zmieni się w odpowiedzialnego mężczyznę. Przemiana, która dokonuje się w Liborio, czyni *Jankeskigo fajtera* wyjątkowo ciekawą i nieoczywistą powieścią inicjacyjną.

### Postscriptum

W ubiegłym roku podczas festiwalu gościliśmy Dorit Rabinyan, której bestsellerowa książka *Żywopłot* opowiada o uczuciu łączącym Izraelkę z Palestyńczykiem. Związek ten, przedzielony murem bezpieczeństwa, nie miał racji bytu w państwie trawionym przez konflikt dwóch narodów. Niedługo po wizycie pisarki w Sopocie Donald potwierdził plan, by podobny mur wybudować między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi. Choć pomysł postawienia muru miał wielu entuzjastów, zdążył wywołać niepokój i pytanie o to, czy alienacja jest rzeczywiście lepszym wyborem niż wypracowanie porozumienia oraz tworzenie wspólnoty. Życmy sobie, by podczas przyszłorocznego festiwalu literatura piękna nie musiała już odzwierciedlać podobnych decyzji politycznych.

» [Spotkanie z Aurą Xilonen odbędzie się 20 sierpnia o godzinie 19:00 w Państwowej Galerii Sztuki. Poprowadzi je Magdalena Grzebałkowska.](#)

Ula Rybicka



Aura Xilonen  
fot. z archiwum autorki

# Żar(cie) powstania

Wiktor Woroszyński (krótco po wojnie, z mównicy): Oni „składali hołd ideom najbardziej nienawistnym”. Tadeusz Borowski (w reakcji na słowa przedmówcy): „Któż dał wam prawo sądzić, może się mylili, ale nie żyją, jak możecie czepiać się ludzi, którzy nie mogą wam odpowiedzieć”. Czesław Miłosz (Kiedy indziej, ironicznie): To byli „dziarscy chłopcy”, „nonszalancy młodzieńcy w wysokich butach”. Zbigniew Herbert (w pisemnej odpowiedzi Miłoszowi): „Miesza bez żadnych skrupułów patriotyzm z nacjonalizmem i to w postaci odrażającej, nakazującej bić Żydów i rżnąć Ukraińców”.

Woroszyński i Borowski, Miłosz i Herbert. Lista jest długa, jedno jest pewne. Ktokolwiek się na niej znajdzie, idzie w zaparte, bo choć punktem zapalnym rozpisanej na wiele lat dyskusji są wybory zaledwie kilku młodych poetów kładących głowę pod nóż w imię narodu (wydawałoby się, żadna wielka rzecz), wie, że stawka sporu określona jest o wiele wyżej: chodzi o sens literatury i określenie jej powinności wobec świata. W podstawowym wymiarze spór ten toczy się – powiedzmy to wreszcie – przede wszystkim o biografie redaktorów działającego w czasie II wojny światowej pisma „Sztuka i Naród”, kulturalnego organu Konfederacji Narodu, której szefował Bolesław Piasecki i która w wymiarze personalnym i ideologicznym wywodziła się wprost z skrajnie prawicowego, antysemickiego Obozu Narodowo-Radykalnego „Falanga”. Ta problematyczna polityczno-instytucjonalna zależność stała się główną osią niegasnącej debaty na temat środowiska SiN-u, jego literackiej spuścizny i wpływu na kształt powojennej literatury polskiej. Kolejnymi redaktorami pisma byli Bronisław Kopczyński, Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński i Tadeusz Gajcy. Wszyscy zginęli krótko po objęciu stanowiska. Do śmierci wezwała ich Polska. Albo przynajmniej myśleli, że wezwała. Roman Bratny opisał ich życie – a także życie wielu innych połączonych wojenną wspólnotą tanatycznego losu – w powieści *Kolumbowie rocznik 20*. Lesław Bartelski uczynił to w *Genealogii ocalonych*. Ostatnio dołączył do nich Stanisław Beres, publikując biografię Tadeusza Gajcego, która jako opowieść o najbardziej uzdolnionym i najszerzej rozpoznawalnym reprezentancie środowiska SiN-u jest przy okazji opowieścią o narodzinach i śmierci całej generacji. Jego praca stanie się prędko, i to w wyłącznie pozytywnym sensie tego słowa, pozycją kanoniczną.

Liczący ponad osiemset stron tom *Gajcy. W pierścieniu śmierci* – wypada to dla porządku powiedzieć – jest właściwie nie tylko biografią, ale heterogeniczną konstelacją wypowiedzi autora na temat spraw związanych i bezpośrednio z życiem jej głównego bohatera, i z jego twórczością oraz jej dotychczasową recepcją. Monumentalna praca Beresia wyraża ponadmiar podęcznikowego podsumowania pośmiertnych losów jego poezji, bo autor bynajmniej nie odmawia sobie prawa do zajęcia stanowiska w debacie, o której mowa powyżej. Przejmujący obraz życia złożonego w imię (fałszywego czy nie) ideału przełamany jest analizą kontrowersyjnej trajektorii politycznej Gajcego, ta z kolei – błyskotliwymi interpretacjami jego całego dzieła. Nie sposób przecenić wkładu Beresia w inwentaryzację wszystkich najważniejszych głosów na temat Gajcego i bliskich mu światopoglądowo kolegów po piórze. I tak: Woroszyński zaatakował SiN z ideologicznej pozycji komunisty przekonanego o szkodliwości nacjonalistycznych poglądów młodych poetów. Borowski wzięł ich w obronę, przedkładając nad polityczne różnice imperatyw pamięci o dawnych przyjaciółach. Motywacje Miłosza były bardziej złożone i oscylowały między ponadosobistą krytyką mesjanistyczno-martyrologicznego etosu a neurotycznym rozpamiętywaniem własnych wyborów z czasu wojny, tak odmiennych od wyborów Gajcego czy Bojarskiego. Herbert wreszcie atakował autora *Zniewolonego umysłu* w przekonaniu, że należy bronić niezających przed „chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku”.

Przebieg debaty, która angażowała całą powojenną polską scenę intelektualną w kraju i na emigracji, można by referować za Beresiem długo, ale jeszcze istotniejszy od mrówczej pracy autora jest jego komentarz do całego sporu i próba rozważenia racji przemawiających za taką lub inną interpretacją politycznych zaangażowań redaktorów SiN-u. Beres wstrzymuje się od pochopnych ocen wyborów Gajcego. Z jednej strony jest gotów zauważyć, że polityczne nastawienie poety wpłynęło na – szczególnie dojmujący i zauważalny z dzisiejszej perspektywy – brak w jego wojennej twórczości odniesień do tragedii Żydów, której świadkiem był na co dzień. Rehabilituje go z kolei o tyle, o ile przypomina, że jako ostatni z redaktorów „Sztuki i Narodu” próbował otworzyć pismo na środowiska mówiące innym głosem, a jego wiara w ideę imperialnej Polski ufundowana była na logice dającej streścić się słowami: „Albo Polska będzie wielka, albo nie będzie jej wcale”. Radykalizm Gajcego, wzmocniony najpierw zapowiedzią, a później uobecnionym szaleństwem wojny, był w ujęciu Beresia jeśli nie prawem młodości, to przynajmniej konsekwencją politycznej niedojrzałości przedwcześnie zmarłego poety.

Zresztą okropieństwo wojny i powstania, w którym brał udział, ostatecznie rozłamało jego wyobrażenie o wielkiej Polsce powołanej, zupełnie jak w mesjanistycznej myśli romantyzmu, do pełnienia decydującej misji dziejowej. Przełom był równie radykalny, jak radykalna była wcześniejsza wizja świata Gajcego. Umieemy dokładnie określić tę chwilę. Był 13 sierpnia 1944 roku, autor *Widm* miał wówczas przed sobą zaledwie



Stanisław Beres  
fot. z archiwum autora

kilka dni życia. Na Kilińskiego w Warszawie wybuchł przejęty przez powstańców niemiecki pojazd, odbierając życie setkom zgromadzonych wokół Polaków. Apokaliptyczny widok masakry popchnął Gajcego do napisania rozliczeniowego wiersza, który – zanotowany w sytuacji granicznej, na papierowej torbie – podważa cały generalizujący dyskurs o nim jako faszycie czy nacjonalście. Jest on świętokradczy jedynie w takim sensie, w jakim świętokradzca mogłaby być dla kogoś wizja wiszącego na szubienicy Boga w *Nocy Elie Wiesela*. Jest prawdziwy w takim sensie, w jakim wydobywa na jaw fałsz mesjanistycznej obietnicy złożonej Polakom przez romantyzm. W zapisie skrajnego wydarzenia nie ma już miejsca na nadzieję boskiej interwencji w narodowy porządek dziejów:

Wszyscy święci, hej do stołu!  
W niebie uczta: polskie fłaczki  
Wprost z rynsztoka Kilińskiego!  
Salcesonów misa pełna  
Świeże, chrupkie. Pachną trupkiem:  
To z Przedmurza!  
Do godów, Święci do godów,  
Przegryźcie Chrystusem Narodów!

Święty kucharz od *Hipciego* nikomu nie był na rękę. Nie uwzględniło go, tak samo jak innych utworów rozproszonych, pierwsze wydanie poezji redaktora „Sztuki i Narodu” po wojnie, które ukazało się nakładem PAX-u i na długo wyznaczyło obszar możliwej dyskusji. Niewiele o nim słyszało. Dzięki Beresowi, który nie tylko nam go przypomina, ale poddaje erudycyjnej analizie krytycznoliterackiej, dostajemy nowego Gajcego. Nadal kontrowersyjnego, ale sportretowanego niezwykle inteligentnie i przenikliwie, a przede wszystkim – oczyszczonego z interpretacyjnych przyzwyczajęń i dyskursywnych nawyków. Powodowały one, że wszystkie wcześniejsze głosy (także Miłosza, Woroszyńskiego, Borowskiego czy Herberta) były jedynie wygenerowanymi z pola zastanych opinii wariacjami wokół wciąż tych samych figur: Gajcego męczennika albo Gajcego nacjonalisty. Beresowi udało się wykroczyć poza to binarne myślenie.

» [Spotkanie ze Stanisławem Beresiem odbędzie się 20 sierpnia o godz. 16:00 w Teatrze Boto. Poprowadzi je Marek Radziwon.](#)

Filip Fierek

# Ed Vulliamy – reporter, który podchodzi za blisko

Pewnego słonecznego dnia Bóg stworzył świat. Napracował się, a gdy chciał usiąść i odpocząć, zobaczył, że w worku, na samym dnie, zostało mu kilka elementów, które były do niczego niepodobne i zupełnie do siebie nie pasowały. Chciał je zatrzymać, ale w końcu zamknął je w dłoni i upuścił na mapę. Rzekł: „Niech powstaną Bałkany”.

Ed Vulliamy, finalista Nagrody Kapuścińskiego 2017, nazywany jest strażnikiem pamięci o Bośni. Vulliamy, Irlandczyk z pochodzenia, uznawany jest za jednego z najlepszych reporterów zajmujących się konfliktem na terenach byłej Jugosławii. Sam o sobie mówi, że jest reporterem, który podchodzi zbyt blisko. Relacjonował oblężenie Sarajewa i w 1996 roku jako pierwszy dziennikarz w historii zeznał w imieniu bałkańskich ofiar, a w 2011 – w procesie przeciwko Radovanowi Karadžićowi w Hadze.

Vulliamy relacjonował konflikt w Bośni jako jeden z pierwszych na świecie. W 1992 roku, razem z reporterką Penny Marshall, opowiedział światu o tym, jak mordowani są ludzie na Bałkanach.

Jego teksty pełne są wściekłości, że minęło tak niewiele czasu od zakończenia drugiej wojny światowej, która nigdy już miała się powtórzyć. Pisał, że Europa miała się ucywilizować. Tymczasem na jego oczach działały kolejne obozy koncentracyjne i mordowano masowo ludzi w imię idei czystości rasy. *Wojna umarła, niech żyje wojna* to książka, którą reporter napisał po dwudziestu pięciu latach od odkrycia pierwszych obozów na terenie byłej Jugosławii.

Mam wrażenie, że Vulliamy zakochał się w diable. W jego książkach czuć miłość niewdzięcznej i zaborczej kochanki – Bałkany, choć koszarne, nie dają mu o sobie zapomnieć, każą do siebie wracać, a Vulliamy, mimo że wyczerpany tym, co o nich wie, idzie za tym wołaniem. W taki sposób powstają tak porywające książki jak *Wojna umarła, niech żyje wojna*.

Po części to książka o nieśmiertelności. Vulliamy przeprowadził setki wywiadów, odwiedził te same miejsca, które już widział, szukał śladów po ludziach, których kiedyś poznał. Próbował znowu usłyszeć te głosy i otworzyć usta tym, którzy mogą coś pamiętać. „Echo” – to wyraz, który w książce przewija się bezustannie. Czego można szukać na dawnym polu bitwy? Tylko ofiar.

One nie umarły, pamięć po pomordowanych, pamięć po czystkach etnicznych nigdy na Bałkanach nie zgasła. Vulliamy w *Wojna umarła, niech żyje wojna* prowadzi nas po krętych ścieżkach serbskich ulic i pokazuje: to tutaj, 25 lat temu, mogliśmy coś zrobić. Dlaczego Europa po raz kolejny odwróciła głowę? Dlaczego wolała transmitować pompacyjne przemówienia Radovana Karadžića, samozwańczego poety, psychiatry, polityka, który po długim procesie, w 2016 roku, został skazany na 40 lat więzienia za ludobójstwo? Tak, poeta jest odpowiedzialny za Srebrenicę i ponad czteroletnie, wyniszczające oblężenie Sarajewa.

*Wojna umarła...* ma zaskakującą budowę. Teksty reporterskie, wspomnienia przetkane są antraktami, co powoduje, że cały utwór czyta się jak dzieło dramatyczne. Efektem takiego zabiegu jest ciekawa książka, o zmiennym co prawda rytmie, ale za to bardziej czytelna. Materiał reporterski jest soczysty, silnie nasączony faktami, osobiste wspomnienia powodują, że tempo w bałkańskim kotle trochę cichnie i kieruje czytelnika w głębsze warstwy wyobraźni.

Pięknie pisał Kapuściński, którego zresztą Vulliamy uważa za największego mentora, o takiej rytmizacji prozy reporterskiej: „Książka nie powinna być kolekcją najlepszych fragmentów, gdyż stanie się czymś w rodzaju ciasta składającego się z samych rodzynek – więc wręcz niejadalną, niestrawną, a w naszym przypadku – nieczytelną”.

Myślę, że Ed Vulliamy to jeden z tych facetów, do których chciałabym przysiąść się przy barze i pogadać. Jego książki to przekrój tematów, a każdy oglądany jest z bardzo blisko – dostajemy obraz widziany owadziemi oczami dziennikarza, którym nie umyka żaden fragment mozaikowego krajobrazu. Tak opowiadać może tylko ktoś, kto naprawdę podchodzi zbyt blisko. Przekonacie się o tym, czytając inną książkę Vulliamiego – *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy*. W tym wnikliwym reportażu zapach fajitas płynący z okien małych kuchni meksykańskich biedaków miesza się z zapachem najczystszej kokainy świata, rozsypanej na złocistych blatach stołów najpotężniejszych baronów narkotykowych. To książka bezgranicznie wnikliwa, wstrząsająca, wywołująca wściekłość.

Ale Vulliamy specjalizuje się w takich tematach. Mówi o nich z dystansu, zachowując swój czujny, owadzi wzrok. Za książkę *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy* otrzymał w 2013 roku Nagrodę Kapuścińskiego. *Wojna umarła, niech żyje wojna* przyniosła mu nominację i finał tego konkursu w 2017 roku.

Ed Vulliamy, pytany w jednym z wywiadów o nadzieję dla Bałkanów, otwarcie przyznaje, że jest coraz bardziej wątpliwy. Wielu historyków do dziś twierdzi, że bałkański kocioł po prostu musi znowu wybuchnąć. Czy więc Bóg, stwarzając Bałkany, wrzucił do ciasta same rodzyнки?

» [Spotkanie z Edem Vulliamym odbędzie się w sobotę 20 sierpnia o godz. 17:00 w Państwowej Galerii Sztuki. Poprowadzi je Konstanty Gebert.](#)



Ed Vulliamy  
fot. z archiwum autora

## Aleksandra Lipczak dekonstruuje hiszpański mit

Aleksandra Lipczak, debiutująca w roli reportażystki książką *Ludzie z Placu Słońca*, zabiera nas do Hiszpanii dalekiej od stereotypowych wyobrażeń. Zamiast flamenco, sjęsty i pysznych tapas serwuje nam obraz surowy jak krajobraz Andaluzji, przeplatany gorzkimi wspomnieniami o przeszłości i frustracją z powodu upadku mitu o boomie gospodarczym.

*Ludzie z Placu Słońca* to fascynująca podróż po upadłych pueblach, lokalnych barach i spotkaniach z przedstawicielami ruchu lokatorskiego powstałego w wyniku kryzysu gospodarczego w 2008 roku. Na kartach swojej książki Lipczak opowiada o drodze, jaką przebyła Hiszpania po upadku dyktatury Franco i jakie trupy wciąż chowają się po hiszpańskich szafach. Choć znajdziemy tam również ciepło, słońce i Almodóvara, punkt ciężkości autorka przeniosła zdecydowanie na drugą, mroczniejszą stronę.

Aleksandra Lipczak studiowała filologię hiszpańską na Uniwersytecie Jagiellońskim i przez prawie sześć lat mieszkała w Hiszpanii. Kraju, z którym – jak wielokrotnie w wywiadach podkreśla – łączy ją coś, co można by opisać jako „matężństwo z długim stażem”. Owocem tego związku są właśnie *Ludzie z Placu Słońca*. A że była to relacja gorąca, czuć w tej książce wyraźnie. To nie laurka wystawiona hiszpańskiemu stylowi życia. To raczej surowe i pozbawione ocen spojrzenie na życie zarówno wielkich miast, jak i zapomnianej prowincji. Lipczak przyznaje, że jej spojrzenie na Hiszpanię zmieniało się i dojrzewało. „Pojechałam do Barcelony w 2008 roku. Na moich oczach rozpadła się opowieść sukcesu. Na jej miejsce pojawiła się inna, dużo ciekawsza. O nierozwiązanych konfliktach i duchach przeszłości” – tłumaczy. To właśnie ten upadek mitu dobrobytu i droga, którą przeszła Hiszpania od czasu kryzysu ekonomicznego, zafascynowały ją najbardziej.

Lipczak uznała jednak, że analiza tych wydarzeń i doświadczeń to za mało, by zrozumieć dzisiejszą Hiszpanię. Sięgnęła więc również w przeszłość, której pokłosie jest tam nadal tak mocno odczuwalne. Czytamy zatem o Franco, o Falandze, drodze do emancypacji kobiet, o liberalizacji hiszpańskiej gospodarki w 1957 roku. Te retrospekcje pozwalają spojrzeć na współczesną Hiszpanię z innej perspektywy.

Natalia Soszyńska

I lepiej zrozumieć ten kraj, tak liberalny i nowoczesny, choć tak niedawno jeszcze patriarchalny i ortodoksyjnie katolicki. Sprzeczności, które wypunktowuje Aleksandra Lipczak w *Ludziach z Placu Słońca*, podsumowuje okładka książki – na zdjęciu starsza kobieta dzieli ławkę z barwnie ubraną drag queen. Oto „Hiszpania rozpięta pomiędzy Krzyżem i rozwiązłością” – stwierdził Mariusz Szczygieł.

Co ciekawe, Lipczak na spotkaniach z czytelnikami zetknęła się z komentarzami, że nie jest to wcale książka o Hiszpanii, ale o Polsce. Reporterka podkreśla, że szukała po prostu tematów zrozumiałych dla polskiego czytelnika. Pisząc, czuła się nieco jak tłumaczka wyjaśniająca ten hiszpański chaos. Starała się jednocześnie zbudować przyjaźń pomiędzy Hiszpanią a polskimi czytelnikami. Rzeczywiście, czytając *Ludzi z Placu Słońca*, ciężko nie znaleźć analogii pomiędzy Hiszpanią a naszym nadwiślańskim ogródkiem. Droga do wolności, obalenie totalitaryzmu, zachłyśnięcie się wolnością – dobrze znamy te tematy. A i podobne trupy schowane w szafie dają o sobie od czasu do czasu znać.

» **Spotkanie z Aleksandrą Lipczak odbędzie się 20 sierpnia o godz. 18:00 w Teatrze Boto. Poprowadzi je Mariusz Szczygieł.**

Julia Kapata



Aleksandra Lipczak  
fot. Tomasz Czech

Jeśli zaintrygował Was ten fragment wywiadu, wejdźcie na [www.literackisopot.pl](http://www.literackisopot.pl) i przeczytajcie całą rozmowę Pauliny Frankiewicz z Aleksandrą Lipczak!

## Duchy przeszłości nie znikną, jeżeli nie uporamy się z nimi na czas

„Myślałam, że teraźniejszość – kwestia uchodźców, problem mieszkaniowy albo pozycja kobiet – jest tym, co bardziej zaciekawi ludzi, że Franco i wojna domowa zejdu na drugi plan. Okazuje się, że jest odwrotnie. Może dlatego, że jest wiele podobieństw między Polską i Hiszpanią” – mówi Paulinie Frankiewicz Aleksandra Lipczak, autorka zbioru reportaży *Ludzie z Placu Słońca*.

### Paulina Frankiewicz: Jak wyglądało Twoje pierwsze spotkanie z Hiszpanią?

Aleksandra Lipczak: Jeszcze przed wyjazdem do Hiszpanii zaczęłam studiować filologię hiszpańską w ramach MISH. Z dzisiejszej perspektywy podjęcie tak ważnej życiowej decyzji pod wpływem impulsu wydaje mi się zabawne, ale zafascynowało mnie *Vengo Tony'ego* Gatlifa. Chyba uległam wizerunkowi „dzikiej” Hiszpanii, takiego europejskiego Orientu.

Miałam okazję go szybko zweryfikować. Kiedy pojechałam do Hiszpanii jeszcze jako studentka dziennikarstwa. W pierwszych latach XXI wieku Hiszpania była bardzo energetyczna, narzucała trendy. Dziś wciąż jest modnym krajem, który budzi zainteresowanie wielu ludzi, ale wtedy to była prawdziwa europejska fascynacja Hiszpanią, taki hiszpański boom. Od początku mieszkałam w Barcelonie. Zapuszczałam się oczywiście w inne rejony, ale od razu na wejściu miałam podaną na talerzu zupełnie inną Hiszpanię od tej, którą sobie wyobrażałam: wielojęzyczną, różnokulturową, pokawałkowaną.

### Już wtedy narodził się pomysł na książkę?

Skąd. Idea pojawiła się kilkanaście lat później. Długo we mnie dojrzewała albo raczej ja dojrzewałam do podjęcia tej decyzji. Mieszkając w Hiszpanii przez prawie sześć lat, pisałam reportaże i analizy do „Polityki” i „Gazety Wyborczej”. Były to najcięższe lata kryzysu, nie brakowało więc tematów, o których chcieli czytać ludzie w Polsce. Nawet jeśli idea książki pojawiła mi się gdzieś z tyłu głowy, nie dawałam jej dojść do głosu, byłam zbyt pochłonięta tym, co się działo. Zaczęłam ją pisać dopiero po powrocie do Polski, jakiegoś dwanaście lat po tym, gdy pierwszy raz zamieszkałam w Hiszpanii. Ten dystans czasowy był mi potrzebny, dzięki niemu spokojnie mogłam poobserwować ten kraj i dostrzec więcej, niż jest to możliwe przy pobieżnych wizytach.

### Mieszkanie w Barcelonie w tak burzliwym okresie nie było przytłaczające?

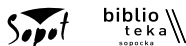
Na pewno inaczej odbiera się dramatyczne zjawiska, nie będąc obywatelką kraju. Siłą rzeczy byłam bardziej obserwatorką niż uczestniczką. Choć to wszystko, co się działo, było dla mnie chyba równie szokujące jak dla Hiszpanów. Nagle okazało się, że pozorny ład świata jest fikcją i że wszystko, co wydaje się stałym punktem odniesienia, może okazać się kruchym lodem, po którym wszyscy stąpamy. Tak samo jak oni byłam zdumiona, że ta Hiszpania, którą poznałam kilka lat wcześniej jako kraj bardzo szczęśliwy i prąjący do przodu, spada nagle z tak wysokiego konia i że tak wiele z tego, co osiągnęła, jest iluzją. Było to dla mnie nie tyle trudne, co dziwne, nieprawdopodobne. Te hiszpańskie doświadczenia w dużym stopniu mnie ukształtowały. W apogeum kryzysu kończyłam trzydzieści lat i mam wrażenie, że dojrzewanie hiszpańskiego społeczeństwa do różnych spraw zbiegło się z moim osobistym „krzepnięciem” jako dorosłej osoby, obywatelki.

### Jeśli chodzi o kryzys i rozliczenie się z przeszłością – zauważasz korelacje między Polską a Hiszpanią?

Kiedy mieszkałam w Hiszpanii, była gorącym punktem na mapie Europy. Teraz to Polska stała się rojem, w którym buzuje mnóstwo spraw. Hiszpania, o której piszę, to społeczeństwo przyparte do muru. Teraz, oczywiście z odmiennych powodów, taka sytuacja dotyczy nas. Mimo różnic protesty, które mają miejsce w dzisiejszej Polsce, ten stan alarmu, rozgorączkowania, to coś, co dobrze pamiętam z kryzysowej Hiszpanii. Jeśli chodzi o rozliczenia z przeszłością, zauważyłam, że to temat, który wysuwa się na pierwszy plan w odbiorze książki. Zaskoczyło mnie to. Myślałam, że teraźniejszość – kwestia uchodźców, problem mieszkaniowy albo pozycja kobiet – jest tym, co bardziej zaciekawi ludzi, że Franco i wojna domowa zejdu na drugi plan. Okazuje się, że jest odwrotnie. Może dlatego, że jest wiele podobieństw między Polską i Hiszpanią. Widać to na przykład w modelu transformacji, potrzebie oddzielenia się grubą kreską od tego, co minęło (w Hiszpanii mówi się o tym teraz *pacto del olvido* – pakt milczenia). Nie chcę tej polityki całkiem kwestionować, rozumiem wielkoduszność takiego posunięcia i przekonanie, że nie przechodząc nad pewnymi rzeczami do porządku dziennego, nie da się pójść dalej. Okazuje się jednak, że duchy przeszłości nie chcą zniknąć, jeżeli nie uporamy się z nimi na czas. To jest coś, co dotyczy tak samo Hiszpanii, jak i Polski, chociaż wcielenia tych duchów się różnią.

Paulina Frankiewicz

organizator:



mecenat:



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Miasta Sopotu

